

baż co baż lękałam się tego zbója i drżałam, czy się nie puści za mną. Ale nie, nie ruszył się, a ja zdyszana, zatrzymałam się przy drzwiach zamkowych, nadsluchując, gotowa każdej chwili w razie jakiego podejrzanego odgłosu skoczyć w te drzwi i zamknąć je za sobą. Lecz nikt mnie nie gonił; cisza, niezakłócona niczem, panowała dokoła. Tłumiąc bicie serca, poszłam do siebie, zamknęłam się w mym buduarze i teraz dopiero poczęłam się zastanawiać nad tem dziwaczem spotkaniem z bandytą leśnym i nad dziwaczniejszą jeszcze propozycją zbiegłego mnicha przestępcy.

Dlaczego on chce się ze mną widzieć? dlaczego naznacza mi schadzki? Na te pytania oczywiście nie ma odpowiedzi, ale mój instynkt kobiecy mówił mi, że podkładka tego osobliwszego zaiste żądania jest... jakby to powiedzieć... miłość, nie miłość, ale może jej pragnienie. Wszak przypominam sobie ogniście spojrzenia, jakimi mnie obejmował Gwido, gdy w noc mroźną zjawił się przed paru miesiącami w zamku; jego wzrok, którym mnie szukał nieustannie i starał się przebić ciemności, w których się ukryłam. Tego wzroku nie zapomnę nigdy i doskonale rozumiałam i rozumieć przebijającą się w nim żądzę. Nie mogę zaprzeczyć, że te oczy były bardzo piękne, że przypominały mi inne, tak miłe sercu mojemu, ale... Tak, dobrze zrobiłam, że odmówiłam widzenia się z Gwidonem; jego zachwywanie się moją pięknoscią oburza mnie i wstydzi, choć... nie! już więcej nie napiszę...

Dnia 20 kwietnia. Stało się! Fatalne przeznaczenie moje spełniło się i spełnić się musi. Duch Cienia mej praprababki popycha mnie w ciemną, niezbadaną przepaść. Cała goręję wstydem, oburzeniem, wzdargą dla mej nikczemności. Jestem zgubiona, zgubiona na wieki!

Staram się odzyskać nieco spokoju i opisać tu wszystko na tych kartach, choć drzę cała i nie mam, nie znajduję słów na określenie mej słabości. Boże, żeby to była słabość, nie chwilowe zapomnienie się.

Od chwili dziwaczego spotkania mego w parku na stawem z herasztem Szydłem, upłynęło parę tygodni w zupełnym spokoju, tak że zapominałam już o osobliwszej propozycji mnicha Gwidona, a raczej pana Tomasza Gworowskiego. Ale wczoraj... nie! trzeba wprzód opisać wszystkie okoliczności, poprzedzające to straszne wczoraj, cały zbieg szczególnych zaiste zdarzeń.

Od tygodnia, a raczej od dwóch tygodni, panuje tu prześliczna pogoda, i jest tak ciepło, tak słonecznie, że dziadunio utrzymuje, iż nie pamięta tak pięknego, nieomal gorącego kwietnia. Niebo jest ciągle jasne, bezchmurne, słońce sieje rozkoszne ciepło i wiosna jest w całym rozwoju wszystkich swych uroków. Park zazielenił się, fijoiki i pierwiosniki się ukazały, bzy iada dzień kwitnąć będą, a słowik pod moim oknem, ukryty w ogromnych krzakach bzów i jaśminu, co wieczór trele swe miłosne wyśpiewuje. Cała okolica, te wielkie bory otaczające dokoła zamek, taką posępną ciemnością ciemniejącą w zimie, dziś zielenią się rozkosznie i ożywcą wciń rozsiewają dokoła. Noce są jasne, ciche, sennie, rozmarzone, cała natura zdaje się rozplýwać w jakimś rozkosznym, leniwem upojeniu.

Zawsze piękne widoki, bujne życie odmładzającej się przyrody, wiosna jednym słowem, wywierała na mnie nieprzeparty urok, a cóż dopiero, gdy żyję na jej łonie bezpośrednio, wśród wielkich, prastarych puszcz, nieskalanych jeszcze tak zwanną cywilizacją. Lękając się chodzić do parku wieczorami, by nie spotkać się znowu z Szydłem, długo w nocy siedzę w otwartym oknie, wdychając w siebie woń wiosenną, szukając powietrza, którego mi moje zadrosne, ciężko sklepione pokoje dać nie mogą. Czasem Zuzia siedzi ze mną, ale widząc, że ją to nudzi, nie zabraniam jej wymykać się, zapewne do oficyny, gdzie pan Alfons Dziurkiewicz brzdąka na gitarze i czule szansonetki śpiewa o brzozech i o strumykach, albo o Filonie i Laurze, która na schadzki z kochankiem wzięła z koszykiem maliny swoje. Zwykle więc sama siedzę, otulona w szal, przy otwartym oknie na park wychodzącym, i napawam

się rozkoszami cichej, jakby drzemiącej nocy wiosennej.

Tak samo było wczoraj. Noc była jasna, choć bezksiężycowa, niebo czyste, ciemno szafirowe, usiane tysiącami gwiazd. Słuchałam śpiewu słowika, wdychałam w siebie balsamiczne powietrze, upajałam się wielkiem, rozmarzonym, pełnem jakiejś tajemniczości milczeniem przyrodzenia, śledziłam mistyczny bieg gwiazd, nieskończone wiekuiste krążenie wszechświata, myślałam o wszystkim i o niczem, cała roztopiona w zadumie, niejako wcielona w tę olbrzymią, nieśmiertelną naturę...

W zamku panował niczem niezakłócony spokój. Dziadunio jeszcze rano pojechał do Kielc, bo teraz w ciągłym był ruchu, gdyż wojna wybuchła i cesarscy, „kajzerliki“, jak ich tu nazywano, wkroczyli do Księstwa Warszawskiego i dziadunio nie mógł usiedzieć na miejscu, ale nieustannie jeździł dla zasięgnięcia wiadomości, których w takim pustkowiu jak Zamkowa Wola, nie było skąd zaczerpnąć. Stary Kociuba potwór zapewne gdzie drzemał, Gruszkowska też, a z nią i służba cała. Była więc cisza uro-



— Powiedz panu Gwidonowi, że to być nie może.

czysta, tylko słowik śpiewał, od drzew i krzewów parku szedł szmer lekki, prawie nie uchwytny, psy na wsi, pod górą zamkową uszczekiwały, a ja marzyłam.

Nagle tę ciszę przerwał trzask złamanej gałęzi, dały się słyszeć ciche kroki, i na ścieżce, tuż pod moim oknem ukazała się jakaś postać ludzka. Dziwna rzecz, jakimś jasnowidzeniem wiedziałam, byłam pewna, że to mnich Gwido, albo raczej Tomasz Gworowski, choć twarzy jeszcze w cieniu, od drzew padającym, rozpoznać nie byłam w możności. Stał na środku ścieżki, w ogromnym bandyckim kapeluszu na głowie, naciśniętym na oczy, otulony w długi płaszcz z peleryną, wyniosły w swej zręcznej i gibkiej postawie. Przerazona do najwyższego stopnia, podniosłam się by zamknąć okno, co Gwido zobaczywszy ukląkł na ścieżce i podnosząc ręce do góry, jakby się modlił do mnie, zawołał głosem męskim, srebrzystym, dźwięcznym i pieścinym, przypominającym mi żywo inny, drogi mi głos:

— O! nie uciekaj pani, szeptał namiętnie — nie zamykaj okna, pozwól niech przy tych nikłych, nocnych blaskach, widzę twą postać, bogom chyba skradzioną. Błagam cię, o najpiękniejsza ze śmiertelnych, wysłuchaj mych słów, mego usprawiedliwie-

nia, tego nakoniec, czego już nie jestem w stanie dzisiaj ukrywać, że cię kocham, tak kocham, jak tylko kochać może kobietę mężczyzna. Od pierwszego ujrzenia ciebie, zapaliłaś o! Julio! żar nieugaszony w mem sercu, uczyniłaś mnie swym niewolnikiem, swym rycerzem. O! Julio, jakże ja cię kocham!

Pierwszy to raz w życiu słyszałam takie namiętne, takie poetyczne słowa kochania, miłości... słowa wypowiedziane tym głosem, który moje biedne serce wprawiał w przyspieszone bicie. Noc, prądy miłosne rozbudzonej do życia natury, rozmarzenie moje, nastrój tęsknej i czegoś pragnącej mej duszy, wszystko to sprawiło, że okna nie zamknęłam, stałam bezwładna, z opuszczonymi rękami, na pół nieprzytomna, zaciuchana w ten głos pieściwy, w te słowa miłosne, namiętne, lejące żar jakiś w me piersi... Przyknełam oczy i rozkoszowałam się w półomdleniu i w półjawie dźwiękiem tych wyrazów, tego głosu.

I nie wiem, jak się to stało i kiedy, dość, że uczułam, jak moją kibić obejmują jakieś silne ręce, jak mnie cisną do siebie, jak palące pocałunki okrywają moją twarz i moje usta. I już nie pomnę, nie

mogę pamiętać, pragnę, o tak! pragnę temu zaprzeczyć, a jednak to jest pewnem, że na te pocałunki odpowiedziałam pocałunkiem... tak! tak! o! Boże mój, co to się stało?

I wtem, gdy on mnie coraz silniej cisnął do siebie i na pół bezwładną ciągnął ku kanapce, pod ścianą stojącej, gdy mi szeptał do ucha słowa miłości, których nie jestem w stanie powtórzyć, nagle, nie wiem skąd i dlaczego, przypomniałam sobie taką samą scenę, odegraną przed półtora wiekiem, tam w Gaworowie, między moją praprababką-Cieniem a kawalerem Dolabellą. I zgroza mię straszliwa owładnęła, cała niemoc dotychczasowa moja znikła, z nadzwyczajną siłą odepchnęłam zuchwałca, wyrwałam się z jego objęć i zawołałam:

— Precz! precz! wychodź stąd, wychodź natychmiast!

Usiłował mię jeszcze uchwycić, widziałam przy blasku lampy w sąsiednim pokoju palącą się, jego ogromne, iskrzące się żarem, magnetyczne i cudownie piękne oczy, jego usta na pół otwarte, wspaniałą, lśniąca się brodę, słyszałam jego błagalne słowa:

— Julio, ja cię kocham, kocham nad życie, nad świat cały!

Ale już nie miały one nademną mocy i wołałam w najwyższym uniesieniu:

— Precz! wychodź pan stąd, bo służby zawołam, każę cię schwytać... ty, coś skarby zrabował klasztorne, złoczyńco, wychodź stąd, uciekaj natychmiast!

Zatrzymał się na te słowa, podniósł kapelusz, który w tem szamotaniu spadł mu był z głowy, przetarł oczy, jakby się z ciężkiego snu obudził i rzekł tonem groźnym:

— A więc tak, złodziejem mnie pani nazywasz, złoczyńcą... dobrze, wyjdę stąd, ale wiedz, że musisz być moją, musisz! choćbym miał przez krew i płomienie do ciebie się dostać,

to cię dostanę, jak Bóg na niebie. Do widzenia!

Pobiegł do otwartego okna, zręcznie chwycił się ram, wyskoczył przez nie i zniknął. Słyszałam, jak biegł przez park, jak trzeszczały pod nim gałęzie, i... dawna zaległa cisza wokoło. Na pół omdlała, bezsilna, wyczerpana, miałam jednak tyle przytomności, że zamknęłam starannie okno, powlokłam się na kanapkę i padłam na nią, wstrząśnięta do głębi, palona wstydem i zgrozą. On mię całował! całował! i ja.. ja mu te całunki oddawałam. Boże! jakąż ja noc przepędziłam, a nadewszystko ta scena, jakby żywcem przekopiewana z pamiętnika mej praprababki. Cóż to za fatalny ciąg wypadków? czyż i mnie czeka ten sam los, to samo przeznaczenie, ta izba zakratowana za biblioteką i śmierć straszna i pogarda następnych pokoleń? Tracę głowę, mąci mi się wszystkie w myśli... nie mogę więcej pisać.

(Ciąg dalszy nastąpi).